

Świat jest wielkim wozem siana. Każdy zgarnia z niego tyle, ile zdoła.

(przysłowie flamandzkie)

Wóz z sianem

Zbieranie siana było jak karnawał. Karnawał w środku lata. W istocie bowiem nie obowiązywały wtedy żadne zasady, poza jedną: zebrać siano przed deszczem. Wszystko inne, łącznie ze święceniem dnia Pańskiego, schodziło absolutnie na dalszy plan. Najbardziej zwaśnieni sąsiedzi zawierali zawieszenie broni. Najbardziej leniwi odkrywali w sobie żyłkę do pracy. Cała wioska od brzasku do zmroku krzątała się na polach i w stodołach i świat stawał na głowie. Drogi kurzyły się od terkoczących wozów, a konie przeklinały dzień swego narodzenia. Siano zbierali wszyscy. Jak opętani. Nawet Nauczyciel zostawiał swoje książki i z samego rana, z grabiami na ramieniu, wędrował w kierunku lasu. Gdzieś znikwały dręczące wszystkich oczy babć i matek, które pilnowały, aby nie opuścić wieczornego różańca, albo żeby mężczyźni nie pili wódki po kolacji. Nikt nie kazał się kapać ani przebierać i wystarczyło o świcie wymknąć się z domu, żeby uczestniczyć w tym zbiorowym szaleństwie całej wioski. Dla nas, dzieci, ta swoboda dawała cały wachlarz możliwości, które trzeba było szybko wykorzystać. W istocie bowiem to święto nie trwało długo, zaledwie około dwóch tygodni, ale nam wydawały się wtedy wiecznością i stanowiły główną atrakcję wakacji.

Ale dlaczego jednak wszyscy wpadali w taki amok? Przecież pracowali w pobliskim miasteczku, albo w tartaku, a siano zwozili tylko po to, żeby wykarmić w zimie konia. A konia z kolei wszyscy mieli tylko po to, żeby móc zwieźć siano.

Wioska leżała na zboczach dwóch stromych stoków, które swój bieg kończyły dopiero w rzeczce – celu naszych pragnień i obiekcje naszych westchnień. Ale wiedzieliśmy, że czas na nią przyjdzie dopiero po sianokosach, kiedy dorośli zmęczeni wyścigiem z czasem, sami rzucają się, aby trochę odsapnąć.

Z domu wybiegaliśmy z kuzynami o świcie. Śniadanie połykaliście prawie w ukryciu. Jeśli napotkaliście Matkę, było pół biedy. O wiele gorzej, jeśli nadzialiście się na Ojca – wówczas już można było oczekiwać konkretnych poleceń, które mogły zrujnować cały dzień. Najczęściej nam się to udawało i mogliśmy biegać między lasem a kolejnymi stodołami, przypatrując się, co ludzie robią i podsłuchując, o czym sobie rozmawiają. Kiedy dom był pusty, wystarczyło po prostu wrócić i przez okno wejść do spiżarni, żeby dorwać się do zakazanych słoików z konfiturami.

Starszym chłopakom siano kojarzyło się natomiast z dziewczynami. Byli bardzo aktywni po zmierzchu, ściągając swoje lube na wpół opustoszałe już wówczas pola. Ponoć dochodziło tam do „rzeczy wołających o pomstę do nieba”, jak mruzczała Babka, ale co można było z

dziewczynami robić po ciemku na sianie, i to jeszcze coś, co wołałoby o jakąkolwiek zemstę, jakoś nie mogło się pomieścić w naszych głowach.

Po prostu każdy świętował sianokosy po swojemu.

Jedynym, który nie ulegał temu karnawałowemu szaleństwu był Gnat. Gnat był naszym sąsiadem i jedynym, który w wiosce posiadał traktor. Koźmi gardził. Uważał, że utrzymanie maszyny opłaca się stokroć lepiej, tym bardziej, że nie gromadził też siana, ale ograniczał się do zboża. Niektórzy uważali, że traktor to maszyna z piekła rodem, która w końcu sprowadzi jakieś nieszczęście, ale Gnat tylko się z tego śmiał. Przylgnęła przez to do niego etykieta bezbożnika. Wzmacniało ja to, że Gnat ćmił papierosy własnej produkcji, na co szczególnie krzywo patrzyła właścicielka sklepiku. Babka z kolei podejrzewała go o pędzenie samogonu i sprzedaż tego produktu dla okolicznych gospodarzy. Może było coś w tym na rzeczy, ponieważ ilekroć w domu rozmowa schodziła na jego temat, Ojciec uśmiechał się jakoś dziwnie i szybko wychodził z izby, żeby nie leżeć Babce w oczy. Jednak jego pokojowe nastawienie nie było wcale brane pod uwagę i leciały za nim obelgi Babki, która wyzywała go od pijaków i druhów „tego bezbożnika Gnata”.

Karnawał trwał w najlepsze. Gdzieś nad wioską modlił się za nas nasz anioł stróż, a wokół nas i tak uganiały się diabły, ciągnąc mężczyzn do wódki, starsze kobiety na plotki, młodych nocą na siano a nas do wyjadania konfitur. Diabeł był bez wątpienia zły, a ten, którego mogliśmy zobaczyć namalowanego na ścianach naszego kościółka, także bardzo brzydki. Nie lubiliśmy go. Ale z drugiej strony, czy można było obyć się bez konfitur?

Tymczasem świat zmierzał do burzy. Mój dom był ostatnim, w którym jeszcze nie zwieziono całego zbioru. Atmosfera była napięta. Bo jak to: nie zdążyć z sianem?

-Nie damy rady! Nie zdążymy! – załamała ręce Matka. Po czym spojrzała krzywo na Ojca i warknęła – No zrób coś!

Ojciec nie odrzekł ani słowa. Obydwoje dobrze wiedzieli, że jedyną szansą było ubłaganie Gnata, żeby użyczył swojego traktorka z wozem. Ale jak ubłagać sąsiada, który śmiał się, ilekroć widział ludzi biegnących z grabiami pod las.

Wieczorem Ojciec wziął flaszkę wódki i nie zważając na wrzaski Babki poszedł do Gnata. Kiedy wrócił, ledwo trzymał się na nogach, ale oświadczył Matce ze zwycięską miną, że traktor będzie pojutrze. Po czym zwalił się kłoda w ubraniu na łóżko i zaczął chrapać. Babka splunęła z obrzydzeniem, ale Matka była zadowolona, więc tym razem obyło się bez awantur.

Rankiem zakrzętnęła się wokół obejścia i jak gdyby od niechcienia powiedziała sąsiadkom, kto będzie nam pomagał przy zwózce siana. Kobiety wytrzeszczyły oczy.

-Jak wyście to zrobili? – zapytała stara Wojtkowa.

-Mój poszedł do niego i jakoś się ugadali – ucięła dyskusję Matka – Pomożecie? To już ostatni kawałek.

Kobiety spojrzały w ziemię.

-Co mamy nie pomóc? –wymamrotała wreszcie jedna – Sąsiadom się pomaga.

Matka, żeby nie okazać się z jak najlepszej strony, w drodze do sklepu puściła informację o kolacji i samogonie po zakończonej robocie. Chętnych, na czele z naszymi moczymordami: Patafianem i Spiritusem, nie brakowało. Pomagać przyszli Nauczyciel a nawet Stalingrad. Nosił on swoje przezwisko z dumą, a otrzymał je tak dawno, że już w sumie nikt nie pamiętał, jak on się nazywał. Babka utrzymywała, że Stalingrad miał naprawdę na imię Jan, a Stalingradem nazwano go, gdy wrócił ze Związku Republik Radosnych i wszystkim wokół opowiadał, że widział pomnik Stalina. Nikt jednak Babce za bardzo już nie wierzył, przynajmniej spośród dzieci, ponieważ było dla nas po prostu niemożliwe, żeby Stalingrad mógł się nazywać inaczej. Był po prostu Stalingradem i koniec, co i on sam w jakiejś mierze podtrzymywał, mówiąc sam o sobie w ten właśnie sposób.

Robota ruszyła nazajutrz od świtu. Nawet nas Ojciec zapędził do ugniatania siana na wozie i w stodole. Gnat zjawił się rano zadowolony, ćmiąc swojego nieśmiertelnego skręta. Na jego widok Babka splunęła i schowała się do izby, ale na Gancie nie zrobiło to wrażenia. Z domu wyszedł Ojciec i zaprzągnął konia. Po chwili wszyscy trzęśliśmy się na wozie zmierzając w kierunku naszego pola pod lasem.

Praca była ciężka. Matka z Ojcem ganiła z grabiami, my ugniataliśmy siano, a Gnat stał i patrzył na nas, jak to mówił, krytycznie. Do stodoły zwieźliśmy chyba ze trzy wozy. Wreszcie, ku wieczorowi, przy porywającej wichurze, dotarliśmy do końca pola.

To był ostatni wóz. Sąsiad jechał wolno. Przed domem było spore wzniesienie. Gnat zmienił bieg. I nagle traktorek, w mgnieniu oka stanął dęba, po czym przewrócił się miazdząc kierowcę. Idący za wozem ludzie natychmiast podbiegli do pojazdu i otoczyli go wkoło. Nikt za bardzo nie wiedział, co robić. Wszyscy stali i przyglądali się bezradnie charczącemu Gnatowi.

- Świat jest wielkim wozem siana, każdy zgarnia z niego tyle, ile zdoła – wymamrotał wreszcie Nauczyciel pośród przejmującej ciszy.

Stalingrad obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

-Co wy mi tutaj tak swoiście pieprzycie – warknął rozeźlony.

-Ehm, hm – odkaszlnął pedagog – to takie przysłowie.

-Kurwa mać! – wrzasnął Stalingrad – Tutaj raczej księdza potrzeba, a nie przysłów! – i pochylił się nad rżącym Gnatem. Jego oczy uciekły już w głąb czaszki, z ust buchnęła posoka. Wszystko stało się tak oczywiste, aż pijany Patafian zrozumiał, że tutaj nawet sam papież już nie pomoże.

Stalingrad wstał, wyprostował się i ze złością kopnął w leżące na drodze siano.

- Więc nie będzie zabawy? – wysapał zmartwiony Patafian.

-Durniu! – szturchnął go w bok Spiritus – Będzie! Stypa! – i oblizał się.

Patafian uśmiechnął się szeroko.

-No, chyba że tak! – wymamrotał.

Po latach, kiedy oglądałem w Prado obraz mistrza Hieronima van Aaken, zwanego Boschem, zobaczyłem po prostu raz jeszcze, jak w błysku błyskawicy własne dzieciństwo. I ani trochę nie dziwiło mnie, że ludzie padali przed kupą siana na kolana i adorowali ją oddając się żarliwej modlitwie, której bezradnie przyglądał się malutki Chrystus tkwiący na obłoczku.

Ale przecież nikt i tak nie zwracał na Niego żadnej uwagi.

listopad 2010